



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Lech Gwardyś

Okupacja w S...

Zanim zdecydowałem się na spisanie tej garstki wspomnień, długo się wahałem. Przecież to co mnie spotkało podczas okupacji niemieckiej przeżywały również tysiące polskich dzieci, było to tak powszechne, że chyba wszyscy to znają. Kiedy jednak pytałem młodych ludzi z rodziny i znajomych co wiedzą o tych czasach, z czym je sobie kojarzą, jak sobie wyobrażają życie nas, ówczesnych dzieci, już nie miałem wątpliwości – wiedza ta była znikoma. A co za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat mają wiedzieć o nas, o naszych przeżyciach, nasi wnukowie? Czy tylko to, co pokazano symbolicznie w filmach? Czy tylko to, czego się dowiedzą z pokrętnych podręczników historii?

Oczywiście nie mam możliwości opisanie tych blisko 2000 dni, przez które dla mnie trwała wojna. Nie prowadziłem wówczas pamiętnika. Pozostało jednak w pamięci kilkadziesiąt wydarzeń najmocniej przeżytych. Myślę, że część z nich należy opisać. Postaram się przedstawić te wspomnienia tak, jak je widziałem wówczas, oczami starszego wprawdzie, ale jednak dziecka, jak je wtedy przeżywałem, jak były komentowane i postrzegane przez moje otoczenie. Nie będę uwzględniał ani późniejszej wiedzy, ani późniejszej oceny.

Nazwy miejscowości wymienionych we wspomnieniach zostały oznaczone symbolami. Imiona osób są prawdziwe. Czas wydarzeń jest podany w miarę możliwości dokładnie, chociaż w paru przypadkach mogła mnie pamięć zawodzić.

Wybuch wojny

Wiosną 1938 roku zamieszkaliśmy w B., gdzie ojciec otrzymał pracę w tzw. Wydziale Powiatowym. Mama zajmowała się domem i wychowaniem mnie i młodszej o dwa lata siostry. Wynajmowaliśmy duże mieszkanie bez żadnych wygód w bardzo starym, drewnianym domu, za którym rozciągał się rozległy ogród, a dalej łąki. Za nim, w odległości dla nas dzieci ogromnej, były jakieś fabryki, tory kolejowe, lotnisko. W podwórku stały trzy domy zamieszkałe przez siedem rodzin. W roku szkolnym 1938/39 ukończyłem II klasę szkoły powszechnej. Z chodzenia do I klasy zostałem zwolniony, gdyż to czego tam się uczyli (czytać, pisać, liczyć) już umiałem. Oprócz fascynacji nowością, jaką była szkoła, był to również czas wielkich przeżyć związanych z przynależnością do drużyny „zuchów”, czyli najmłodszych harcerzy.

W domu często słuchaliśmy radia: audycji, muzyki, nauki piosenek, ale i dzienników. Było też domowe śpiewanie. Ojciec uczył nas głównie piosenek żołnierskich, czasami grając na skrzypcach, ma-

ma – patriotycznych, ludowych, tradycyjnych, a nawet operowych i operetkowych. Dużo czasu wypełniało również głośne czytanie książek przygodowych, podróżniczych, historycznych. To było już moim zadaniem, z którego byłem niezmiernie dumny, zwłaszcza od kiedy moja nauczycielka upoważniła mnie do czytania książek z czytelnicy dla szóstej klasy. Zwykle czytałem na głos mojej mamie zajmującej się pracami domowymi.

Pierwsze chmury zaciemniły obraz tej sielanki wiosną 1939 roku, kiedy podczas konfliktu z Litwą ojciec został powołany do wojska „na ćwiczenia”. Wprawdzie wkrótce wrócił, lecz stwierdził, że wojna będzie lada miesiąc i zaczęły się przygotowania zapasów żywności. Szycie worków i woreczków, zakupy, nasypywanie mąki, cukru, kasz, fasoli. To było coś niecodziennego, niezwykłego. My dzieci nie wyobrażaliśmy sobie, że to nie jest książkowa przygoda, że to może być prawdziwa wojna.

Wakacje były pogodne, wręcz upalne. Trwały zarządzane przez władze przygotowania do wojny. Sztyto maski z flaneli i gazy, które miały zastępować prawdziwe maski przeciwgazowe. Dorośli często rozmawiali o niebezpieczeństwie bomb gazowych, jakie mogą Niemcy rzucić na polskie miasta, o strasznych męczarniach, w jakich wskutek gazu ginęli ludzie podczas wojny światowej.

Szyby okienne były oklejane skrzyżowanymi w kształcie litery X paskami papieru, co w przypadku bombardowania miało je chronić przed pękaniem. Byliśmy „silni, zwarci, gotowi”, co można było przeczytać na setkach plakatów, zobaczyć w kinie na kronikach filmowych, wysłuchać przez radio. Wojsko odbywało ćwiczenia, defilady, otrzymywało w prezencie od mieszkańców miast i miasteczek ciężkie karabiny maszynowe i armaty. W naszych chłopięcych zabawach byliśmy dzielnymi, polskimi żołnierzami uzbrojonymi w rewolwery, karabiny, szable, zwyciężającymi Niemców. Kłopot był tylko z tym, że przy podziale bawiących się kolegów nikt nie chciał być „Niemcem”, a wszyscy chcieli być dzielnymi, zwycięskimi „Polakami”. Już dużo łatwiej było podzielić się na „policjantów” i „złodziei”.

Wakacje niestety kończyły się, lada dzień do szkoły. W piątek bardzo wcześnie rano obudziły nas jakieś huk. Prawie wszyscy mieszkańcy domów z naszego podwórka, jeszcze nie ubrani, wybiegli przed domy. Każdy miał własną teorię. Jedni twierdzili, że to nalot na lotnisko, inni, że to nalot gazowy i wrócili do mieszkania po maseczki z flaneli. Wreszcie ktoś zauważył w dali, w rejonie lotniska i fabryk, słupy dymu, a za chwilę nadleciał tam następny samolot, nowe huk, nowe słupy dymu. Ktoś włączył radio i usłyszał oficjalną wiadomość o wybuchu wojny. Ojciec też włączył odbiornik i nerwowo szykował się do wyjścia do biura. Mama popłakiwała ukrywając to przed nami. My oboje z siostrą siedzieliśmy cichutko, jak trasie, rozumiejąc tylko, że dzieje się coś bardzo złego. Koło południa ktoś przyniósł kartkę od ojca z wiadomością, że nie wie, kiedy wróci do domu. Wrócił późno przynosząc kartę mobilizacyjną. Za 2-3 dni miał się zameldować w swojej jednostce wojskowej w Brześciu.

Przez środek miasta zaczęły jechać i iść tłumy uciekinierów kierujące się na wschód. Wędrowali dzień i noc. Usłyszeliśmy jak rodzice rozmawiali o jakichś poleceniach władz dotyczących ewakuacji. Podobno brakowało pojazdów, którymi można by wyjechać. Wreszcie jakiś wóz zajechał na podwórko. Rodzice coś tam szeptali między sobą, potem z furmanem i znów między sobą. My z siostrą ocenialiśmy krytycznie zarówno furmankę ciągniętą przez takiego brzydkiego i brudnego konia, jak i woźnicę, który miał ponurą minę i wcale się nie uśmiechał. Możliwość przejechania się wozem była mimo to bardzo atrakcyjna. Nie wiedzieliśmy wprawdzie dokąd mielibyśmy się udać i na jak długo. Rodzice jednak zrezygnowali z wyjazdu. Jak się później okazało, była to bardzo szczęśliwa decyzja. Przez radio słyszeliśmy jakieś tajemnicze komunikaty o tym, że „nadchodzi”, lub „przeszedł”.

Nastąpił dzień wyjazdu ojca do wojska. Było mnóstwo łez. Pocieszał, żebyśmy się nie martwili, że to długo nie potrwa, zaraz uderzy na Niemcy Anglia i Francja. No i urozyste słowa do mnie: zostajesz w domu jako jedyny mężczyzna (a miałem raptem 8 lat), musisz opiekować się matką i siostrą. Słowa te traktowałem jednak bardzo poważnie i przez następne tygodnie wiele o nich myślałem. Szybko wyjaśniło się co oznaczają radiowe „nadchodzi”. Chodziło o niemieckie samoloty, które „nadeszły” też nad nasze miasto. Bomby zburzyły kilka domów, zginęli mieszkańcy. Spadły też na tłumy uciekinierów. Oprócz tego ulice wiodące z zachodu na wschód ostrzeliwane były przez samoloty.

Teraz od wczesnego rana do zmierzchu siedzieliśmy pod drzewami i krzakami w ogrodzie nasłuchując, czy nadlatują samoloty. Koczowały tam dziesiątki osób, nie tylko z naszego podwórka. Odległość około 100 metrów od budynków oraz ukrycie się w zaroślach dawało poczucie bezpieczeństwa, chociaż w tym ogrodzie nie było nawet rowów przeciwlotniczych. Któregoś dnia przekonaliśmy się, jak słaba była to ochrona. Kilka samolotów polskich i niemieckich ostrzeliwało się wzajemnie właśnie nad „naszym” ogrodem. Kule gwizdały strącając liście i gałązki z drzew i krzaków. W kilkadziesiąt sekund po przelocie walczących samolotów ogród opustoszał. Kiedy po kilku minutach znów nadleciały ciągle strzelające, byliśmy już w piwnicy sąsiadów. Nie słyszałem, na szczęście, żeby ktoś z sąsiadów został wówczas ranny.

Pogoda nadal była dobra i do połowy września można było przebywać w ogrodzie. Ciągłe słyszeliśmy w rozmowach wśród dorosłych, jak to dzielna policja, a nawet sami cywile, chwytają niemieckich szpiegów dających znaki niemieckim samolotom. Mnie jednak nie udało się zobaczyć takiego prawdziwego szpiega. Chyba dlatego, że nie wolno nam było chodzić po mieście.

W połowie września do B. wkroczyli na kilka dni żołnierze radzieccy. Potem się wycofali. Następnie weszli Niemcy. W obu przypadkach nie było walk.

Od czasu wyjazdu ojca do wojska nie mieliśmy od niego żadnych informacji. Był już początek października. Podobno wojna już się skończyła, cała Polska była zajęta. Któregoś popołudnia bawiąc się na podwórku zobaczyłem otwierającego furtkę, obcego mężczyznę. Był bardzo chudy i strasznie zarośnięty. Coś tam wołał do nas i machał ręką. Zaciekawieni podeszliśmy bliżej. Dopiero kiedy zaczął do nas mówić. Poznaliśmy, że to nasz ojciec. Hałasu i radości było mnóstwo. Potem było mycie, kąpanie, golenie i – co mnie bardzo zdziwiło – spalenie ubrania i bielizny, którą miał na sobie. Został pamiątkowy kawaleczek kostki cukru, którym od kilku dni słodził sobie napoje (chyba jedynie ją oblizując) oraz odłamek bomby wielkości dłoni, który podczas nalotu spadł do rowu w miejscu, gdzie ojciec leżał kilkanaście sekund wcześniej. Z opowiadania dowiedzieliśmy się, że jego jednostka wojskowa była kilkanaście razy przenoszona i w rezultacie nie miał możliwości brania udziału w walkach. Następnie dostał się do niewoli radzieckiej. Uciekł z niej wyskakując koło Szepietówki z pociągu wiozącego jeńców na wschód i głównie piechotą wrócił do domu. Nie mogłem uwierzyć, że tyle przygód, zakończonych szczęśliwie, przydarzyło się właśnie mojemu ojcu. Dotychczas takie niezwykle przygody miewali jedynie liczni bohaterowie czytanych przeze mnie książek. Podziwiałem ich, lecz nie bardzo wierzyłem w prawdziwość tych przygód.

Początek okupacji niemieckiej

Ojciec powrócił do pracy w Wydziale Powiatowym. My z siostrą poszliśmy do szkoły. Część budynków szkolnych zajęło wojsko niemieckie. W pozostałych był straszny tłok. Sale szkolne podzielono ściankami. Lekcje odbywały się na kilka zmian. Niektóre przedmioty były ograniczone, a inne zabronione. Część książek z biblioteki szkolnej wycofano. Niektóre podobno przekazane przez nauczycielki zaufanym uczniom na przechowanie, do zwrotu po wojnie.

Ciągle dowiadaliśmy się, że czegoś nie wolno. Nie wolno było chodzić ulicami po godzinie policyjnej. Nie wolno było słuchać radia. Wszystkie odbiorniki należało oddać władzom niemieckim. Ojciec porozbijał coś wewnątrz odbiornika i oddał go zgodnie z zarządzeniem. Ponoć wszystkie te radia były wywiezione do Niemiec i tam rozdane cywilnym ludziom. Nie wolno było przechodzić przez odcinek ulicy, którą dotychczas chodziliśmy do szkoły, zamieszkały teraz przez Niemców. Mieliśmy drogę wydłużoną o kilkaset metrów. Jeden z kolegów odkrył możliwość przejścia przez „niemieckie” podwórka. Po paru takich przeprawach musieliśmy stoczyć walkę na pięści z bawiącymi się tam niemieckimi dziećmi, które narobiły wrzasku, włączyły się ich matki, no i trzeba było zrezygnować z tego skrótu.

Nie wolno też było np. śpiewać w kościele takich pieśni jak „Boże coś Polskę...”, ale jak organista kończył „oficjalne” granie, ludzie sami odśpiewali tę pieśń na zakończenie mszy.

Ojciec mój parę razy wrócił do domu kilkanaście minut po godzinie policyjnej, przedstawiając swój zegarek i udając, że nie wie, iż jest już tak późno. Oczywiście mama bardzo się tym denerwowała. Kiedyś poważnie naraził się czymś niemieckiemu staroście i po kilku miesiącach zaczął pracę w odległej o kilkanaście kilometrów gminie. Musiał tam mieszkać i do domu przyjeżdżał tylko na niedzielę. Było nam bardzo smutno. Jedyną zaletą była możliwość przywożenia ze wsi takich rarytasów jak mięso, wędliny, czy masło, o co w mieście było trudno.

Wiosną 1940 roku usłyszałem w rozmowach dorosłych taki dziwny wierszyk:

*Im słońeczko wyżej,
tym sikorka bliżej.*

Dość szybko poznałem również jego sens. Już za parę tygodni przebywający na Zachodzie generał Sikorski wyzwolił Polskę na czele polskiego wojska, które razem z Francuzami i Anglikami pokonało Niemców. Ludzie przekazywali sobie coraz to nowe, absolutnie pewne terminy takiej ofensywy. Oczywiście w tych wiadomościach było zwycięstwo nad Niemcami i to bardzo szybkie.

Podczas kilku niedzielnych pobytów ojca siedzieliśmy nad mapą Europy. Planowaliśmy nowe granice państw, a zwłaszcza Polski po rozgromieniu Niemiec. Nie było żadnych wątpliwości, że Prusy Wschodnie będą polskie. Trochę wątpliwości mieliśmy czy granica zachodnia ma być na Odrze i Nysie czy trochę dalej na zachód. Oczywiście Szczecin przydzielaliśmy Polsce. Wschodnia granica miała pozostać taką jak przed 1939 rokiem. Mama słuchała tych dyskusji z politowaniem, patrząc jak na wariatów. Na to ojciec miał gotową odpowiedź: nie martw się, zobaczysz, że jeszcze będę starostą w Królewcu.

Tymczasem generał Sikorski ciągle jeszcze nie wkroczył do Polski, natomiast Hitler zajmował kolejne państwa. Komentarz ojca był prosty: przecież on nie będzie długo mógł zapanować nad tyłami narodami, przecież wszyscy się zbuntują i to wkrótce. Okazało się, że my już nie mieszkamy w żadnej Polsce, tylko w jakiejś Generalnej Guberni.

Któregoś wieczoru ojciec wrócił do domu jakoś dziwnie ubrany: w bryczesy i długie buty od polowego munduru wojskowego, który miał zawsze w domu, jakąś stara marynarkę i beret. Był nieogolony i ubłocony. Na moje pytanie: czemu tak wygląda – zbył mnie, że to sprawy nie dla dzieci. Podejrzywałem wcześniej, że może działać w jakiejś tajnej organizacji, a teraz byłem już pewien. Tyle się nauczyłem o różnych powstańcach, spiskowcach, buntownikach, a do tego wiedziałem o posiadanych przez ojca przed wojną dwóch pistoletach. Zdawałem sobie jednak sprawę – tajemnica rzecz święta i już nigdy więcej o to nie pytałem.

Nasze zabawy podwórkowe z kolegami były teraz rzadkie, mniej hałaśliwe no i w małych grupach. Często było nas tylko 4 czy 5. Pamiętam, że wśród kilkunastu kolegów stanowiących naszą „paczkę”, tylko jeden syn właściciela sklepiku miał dziecienny rower i to trójkołowy. Chyba wszyscy mniej lub bardziej jawnie zazdrościli mu tego roweru. Moje parokrotne próby zagadywania rodziców na temat roweru, jeszcze przed wojną, kończyły się odpowiedzią, że „na razie” nie ma na to pieniędzy. Teraz, w czasie wojny, nie miałem co liczyć na spełnienie tego marzenia.

W mieszkaniu ciągle nam brakowało programu radiowego, tej muzyki, śpiewu, ciekawych audycji, wiadomości ze świata. Jeszcze więcej czasu wypełniałem głośnym czytaniem książek.

W roku szkolnym 1940/41 byłem już w IV klasie, ale lekcje nie zabierały mi wiele czasu. W szkole nadal było ciasno i nudno.

Usłyszałem jak rodzice rozmawiali o rewizjach przeprowadzanych w mieszkaniach przez niemieckich okupantów i stwierdzili konieczność przeglądu papierów i fotografii u nas w domu. Zwłaszcza popalone miały być zdjęcia ojca z wojska i całe sterty gazet i czasopism przedwojennych, wypełnionych karykaturami Hitlera. Stało się jednak inaczej. Myślę, że ojciec był świadomy zagrożenia, gdyż podczas jednego z niedzielnych pobytów zostawił w domu między innymi swój zegarek i obrączkę, czym mocno zaniepokoił mamę.

Pierwszego marca 1941 roku przed południem ktoś dobijał się do drzwi i okien naszego mieszkania. Kiedy mama otworzyła, wpadło kilku niemieckich żołnierzy i cywilów, którzy z wrzaskiem rozbiegli się po pokojach. My z mamą i z siostrą musieliśmy stać w jednym pokoju, gdy całe mieszkanie było rewidowane. Polegało to na wyrzucaniu zawartości wszystkich szaf, szafek, półek i szuflad na podłogę. Gdy przerażona mama pytała czego szukają, kazali jej milczeć. Mimo strachu i zdenerwowania mieliśmy pewien humorystyczny moment. W stosie zabawek jeden z żołnierzy wypatrzył jakąś lufę, tryumfalnie ją wyciągnął i zaraz zrobił strasznie głupią minę. Była to moja armata – zabawka. Z satysfakcją później komentowaliśmy z siostrą naiwność i głupotę tego żołnierza. Po około dwóch godzinach z wrzaskiem i szumem wyszli – nic nie znaleźli. Przez parę godzin robiliśmy względne porządki. Potem przyszła jedna z sąsiadek, z którą mama uzgodniła, jak zawiadomić ojca o rewizji.

Następnego dnia bardzo wcześnie rano ktoś ostrożnie zapukał i przyniósł straszną wiadomość o aresztowaniu ubiegłego dnia naszego ojca, a także spóźnione ostrzeżenie o możliwości rewizji w naszym mieszkaniu. Jednocześnie w gminie, gdzie pracował ojciec, aresztowano również innych. Po paru godzinach już było wiadomo, iż w B. i okolicy zostało uwięziono kilkaset osób.

Mama wybrała się do miejskiej komendy GESTAPO usiłując dowiedzieć się, co złego zrobił ojciec, o co jest oskarżony, kiedy go zwolnią. Ogromna naiwność! Przyjął mamę jakiś młody funkcjonariusz, który odpowiedział tylko, że wystarczy, iż był Polakiem. Dowiedziała się jedynie, że jest więziony w tym budynku i można mu przynieść czystą bieliznę. Nazajutrz zaniósł paczkę i odebrała brudną bieliznę. Krążyła potem wokół budynku komendy, zaglądając w okienka piwnic i o dziwo przez moment widziała twarz ojca. Wszystko to opowiedziała nam po powrocie. Następną sensację odkryliśmy przy rozpakowywaniu brudnej bielizny. Mama była przekonana, że na pewno będzie tam list od ojca. Pod jakąś fałdką było coś. Wprawdzie nie list, ale malutka, zgnieciona karteczka zapisana czerwonym atramentem. Nie wiem dokładnie, co tam było napisane oprócz pozdrowień dla mnie i siostry. Natomiast mama wyjaśniła nam, że ten czerwony atrament to krew. Plamy krwi były też na bieliznie ojca. Bojąc się następnej rewizji, kartkę tę mama spaliła. Wiele razy żałowała później zniszczenia tak cennej pamiątki. Po paru dniach mogła wybrać się ponownie z czystą bielizną. Tym razem zdecydowała, że będę mógł pójść z nią. Byłem dumny z tego wyróżnienia, bo młodsza siostra została w domu. Szczególnie cieszyła mnie możliwość zobaczenia się z ojcem. Radość była przedwczesna. Okazało się, że ojca już nie ma w B. Wywieźli go z dużą grupą więźniów do Lublina.

Kiedy mama pojechała do Lublina, też już go tam nie było, ponieważ został właśnie przetransportowany do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Czym wówczas, na początku swego istnienia, był ten obóz, wiedzieliśmy dobrze. Wiedzieliśmy, że nikt żywy stamtąd nie wychodził.

W ciągu kilkunastu dni mama, po porozumieniu się z rodziną ojca, zdecydowała, że wyjedziemy do jego rodzinnej wsi, do stryja. Tam przynajmniej będzie spokojnie i bezpiecznie, no i będzie co jeść przez okres wojny.

Życie na wsi

Przez kilka dni trwało selekcjonowanie i pakowanie najniezbędniejszych przedmiotów tak, aby zmieścić wszystko w trzech dużych koszach. Meble i reszta dobytku pozostały pod opieką i w użytkowaniu przyjaciół naszych rodziców, mających tymczasowo zajmować nasze mieszkanie. Po nadaniu bagażu na stacji, wyruszyliśmy pociągiem (około 300 km). Wysiedliśmy na małej stacyjce, skąd dwukonnym wozem stryja Andrzeja przebyliśmy następne kilkanaście kilometrów do wsi S. Zaczęły się właśnie wiosenne roztopy i część dróg była nieprzejezdna. Wóz grzął, konieczne były objazdy łąkami, polami. Jeszcze stosunkowo najlepszy był odcinek prowadzący leśnymi drogami.

Rodzinę ojca znaleźliśmy z krótkich pobytów latem, przed wojną. Teraz miał tu być nasz dom. Po ciężkich przeżyciach ostatnich tygodni, tu znaleźliśmy spokój i bezpieczeństwo. Mama była zadowolona z tego spokoju, my z siostrą raczej zdziwieni, że gdzieś może być taka przeraźliwa cisza, jakby nie było wojny, okupacji. Dopiero później miało się okazać, jak dalece błędna była ta ocena.

Wieś S. była niewielka, rozłożona na trzech wzgórzach oddzielonych od siebie pasami łąk i strumieniami, które chociaż niewielkie, tworzyły wiosną i jesienią trudne do przebycia rozlewisko. Każda z tych części wsi S. miała swój numer: I, II, III – licząc od miasteczka będącego siedzibą gminy i ośrodkiem handlowo-usługowym. Gospodarstwa były drobne. Chociaż stryj Andrzej miał jedno z większych, też było tego niewiele. Pola ciągnęły się długimi, wąskimi pasmami, które wprawdzie wyglądały bardzo malowniczo, ale były trudne do uprawiania i do dojazdu.

Z najbliższej rodziny ojca mieszkali jeszcze w S.: jedna wujenka i dwóch stryjów. Nas najbardziej zaciekał stryj Władek, pozbawiony od dzieciństwa części lewej ręki (do łokcia), dający sobie radę z wykonywaniem wszystkich czynności. Miał zresztą w tej jednej ręce siłę dwóch normalnych rąk.

W domu stryja Andrzeja było kilkanaście osób, w tym pięcioro nas dzieci do dziesięciu lat. Oczywiście wszyscy pracowali przy gospodarstwie, wykonując, w zależności od wieku, różne czynności. Do nas, dzieci, w okresie letnim należało pasanie krów, owiec, gęsi. Muszę stwierdzić, że oboje z siostrą dość szybko przelamaliśmy lęk przed ogromnymi i groźnie wyglądającymi krowami. Mnie, tak jak i moich stryjecznych braci, najbardziej interesowała możliwość powożenia końmi.

Naturalnie prace przy gospodarstwie nie mogły wykluczać nauki w szkole. Jej budynek mieścił się tuż obok. Składał się z jednej salki lekcyjnej i małego mieszkania dla nauczyciela. Dodatkowym szkiem było to, że szkoła była tylko czteroklasowa i klasy były łączone. Równocześnie odbywały się lekcje klasy I i II, a następnie III i IV. Kiedy jedni mieli normalną lekcję, drudzy w tym czasie mieli lekcję cichą. Trudno się było przyzwyczaić.

Odrabianie lekcji w okresie letnim, gdy dzień był długi, nie stanowiło problemu. Gorzej było w zimie. Wieś S. nie miała jeszcze wówczas doprowadzonej energii elektrycznej. Zgromadzenie kilkunastu osób przy jednej lampie naftowej pozwalało jedynie uczyć się czegoś, natomiast wykluczało możliwość pisania. Oszczędzano drogą i trudno dostępną naftę. W drodze łaski dostawaliśmy na krótko oddzielną lampę do odrabiania lekcji pisemnych. Dopiero pod koniec okupacji, kiedy „modne” stały się karbidówki, było łatwiej o dodatkowe oświetlenie.

Mimo wielu zajęć gospodarczych starałem się tradycyjnie czytać dużo książek. Biblioteka szkolna nie była wielka, więc korzystałem również z uprzejmości kilku osób w okolicy posiadających, skromne zresztą, księgozbiory.

Po paru tygodniach od wywiezienia ojca do obozu w Oświęcimiu, otrzymaliśmy pierwszy list. Niestety zawierał on głównie slogany, jakie wolno było więźniom pisać, typu „jestem zdrow”, „nic mi nie brakuje”, „pozdrawiam”. Do tego przed wysłaniem z obozu został oceniony – bardzo skutecznie i prosto – przez wycięcie nożyczkami kilku wyrazów. Mimo tych niemieckich zabiegów, ojciec przekazał mamie przy pomocy używanych w domu zwrotów, prośbę o interwencję u pewnego znajomego dygnitarza z miasta B., w sprawie zwolnienia z obozu. Niestety nic z tego nie wyszło. Listy wolno było wysyłać raz na miesiąc, miały ograniczoną liczbę linijek i musiały być napisane po niemiecku.

W początku sierpnia 1941 roku zamiast listu otrzymała mama telegram z komendy obozu – mąż pani nie żyje, bliższe dane w komendzie żandarmerii w Lublinie. Nie mogliśmy sobie wyobrazić, że to jest możliwe, aby młody, trzydziestosześcioletni człowiek zmarł po czterech miesiącach pobytu w obozie. Rozpacz była straszna. Przez łzy obiecywałem, że tego nigdy Niemcom nie daruję, że się na nich zemszczę. Mama wystąpiła do komendy z naiwnym pytaniem – na co zmarł. Chciała jeszcze dowiedzieć się, gdzie można odebrać jego ciało lub prochy, ale oczywiście nie dostała żadnej odpowiedzi. Wszyscy wokół pocieszali nas, że może to nieprawda, może po prostu uciekł z obozu. Podobno w tym czasie były jakieś ucieczki. Chcieliśmy w to wierzyć i wierzyliśmy trochę.

Tak się dziwnie zdarzyło, że parę tygodni później stryj Andrzej otrzymał list od nieznanego nikomu z rodziny Jana Pińkowskiego, jeńca z jakiegoś obozu, z prośbą o pomoc i przysłanie paczki z żywnością. Oczywiście pisany był po niemiecku. Znow zaświtała nadzieja, że ojciec ukrywa się wśród jeńców

pod fałszywym nazwiskiem. Przecież zawsze miał głowę pełną pomysłów. Po jakimś czasie listy od tajemniczego pana Jana przestały przychodzić. Chyba jednak nie był to nasz ojciec.

Czekaliśmy teraz na koniec wojny, bo może wtedy wróci. Tymczasem życie na wsi codzienne zmuszało mnie do zdobywania kolejnych doświadczeń. Uczylem się wykonywania wszystkich prac gospodarskich, chociaż nie do każdej miałem dość siły. Nie mogłem utrzymać pługa jednoskibowego, chociaż radziłem sobie z dwuskibowym. Nie mogłem kosić kosą, bo po kilkunastu machnięciach opadały mi ręce ze zmęczenia. Dobrze mi szło piłowanie i rąbanie drewna. Satysfakcję sprawiało mi zwłaszcza rąbanie twardych i sękatych polan, pękających pod uderzeniami mojej siekiery. Często słyszałem pod swoim adresem za plecami, a nawet wprost, pogardliwe określenie „mieszczuch”, oznaczające tego, co to nic nie potrafi. Musiałem gdzie się tylko dawało udowadniać, że w niczym nie jestem gorszy. Sadziłem i kopałem ziemniaki, zbierałem zboże za kosiarzem, grabiłem siano i koniczynę oraz ustawiałem kopki i ładowałem na wóz. Podczas młócenia młockarnią podawałem, albo wiązałem snopki. Ponieważ część słomy musiała być prosta, trzeba było to zboże młócić cepami. Ja też młóciłem – razem z dorosłymi. Obserwowałem stryja Andrzeja, a czasami stolarza lub cieślę, wykonujących różne prace i naśladując ich strugałem ośnikiem, ciosałem siekierą, heblowałem, wycinałem pamiętając, żeby nie być gorszym.

Szara codzienność doprowadziła do kolejnej przykrości. Oboje z siostrą mieliśmy solidne tornistry skórzane, dumę każdego ucznia, ale nie mieliśmy butów z cholewami. Bez takich butów nie można było chodzić po śniegu, błocie, po bezdrożach. Czasami przecież trzeba było przeprawić się na drugi brzeg strumienia czy wąwozu, przez wodę lub błoto sięgające powyżej połowy cholew. Z tornistrów zostały więc zrobione długie buty.

Co jakiś czas trzeba było coś dokupić, nie tylko te buty z cholewami, lecz także obuwie letnie, czasem jakąś odzież. Byliśmy w tym wieku, kiedy „wyrasta się” z obuwia, z odzieży. Przypuszczam, że mama otrzymywała jakąś pomoc finansową od swojej rodziny. Wiem jednak na pewno, że co pewien czas prosiła listownie znajomych opiekujących się naszym mieszkaniem o sprzedawanie niektórych mebli i przedmiotów gospodarstwa domowego, aby mieć trochę gotówki do dyspozycji.

Mimo wielu nowych, nieznanych zajęć, brakowało nam radia, muzyki i śpiewu. Czasami odbywało się jakieś rodzinno-sąsiedzkie śpiewanie. Czasem młodzież organizowała składkowe wieczorki taneczne, w którymś z nieco większych domów. Wtedy gromadziliśmy się obok tego domu (dzieci do środka nie wpuszczali), aby chociaż z daleka posłuchać muzyki w wykonaniu 2-3 osobowej kapeli amatorów – samouków. Większą, chociaż trochę inną satysfakcję, dawał udział w dziecięcym chórze kościelnym odległego o parę kilometrów kościoła.

W szkole z każdym rokiem było coraz nudniej. Po IV klasie pozostawało się w niej na rok drugi, trzeci, a nawet czwarty (bo więcej klas nie było), powtarzając nieomal identyczny materiał. Mimo to nikt nie rezygnował z chodzenia do szkoły. Status ucznia chronił podobno przed władzami okupacyjnymi przy rekrutacji do różnych prac. Nauczycielem był młody człowiek, „przyjezdny”, który nie lubił dzieci, szkoły, hałasu. My jego również nie znosiliśmy. Po dwóch latach zniknął. Jak się później okazało wstąpił do jakiegoś okolicznego oddziału partyzanckiego. Przyjechała nauczycielka – też „przyjezdna”, lubiąca dzieci, szkołę i lubiana przez nas. Ta wytrwała do końca wojny.

Nie pamiętam już z czyjej inicjatywy zaczęliśmy na parę tygodni przed Bożym Narodzeniem 1941 roku szykować ozdoby na choinkę. Mówiąc dokładniej – wykonywaliśmy je, gdyż nie było mowy o kupnie gotowych. Mieliśmy do dyspozycji kolorowe papiery, bibułki i krepinę, a nawet kilka „wydmuszek” z jajek, no i słomki. Każde z dzieci coś tam umiało już wykonać, trochę doradzali nam dorośli, szczególnie moja mama, a trochę powstawało w wyniku całkiem nowych pomysłów. Dużą rolę odgrywało współzawodnictwo między nami. W efekcie mieliśmy całą górę ozdób: łańcuchy w kilku odmianach, różne typy bombek bibułowych, rozmaite figurki z wykorzystaniem „wydmuszek”, ludowe „pajaki” ze słomek nawlekanych na nitki. Kiedy na parę dni przed świętami przywieziono nam jodełkę „do sufitu”, ledwo się to wszystko na niej pomieściło. Na następne święta już niewiele nowych ozdób wykonywaliśmy, ograniczając się głównie do przeglądu i remontu już istniejących, przechowywanych troskliwie na strychu. Trochę gorzej było z przygotowaniem prezentów. Pamiętam, że otrzymywały je tylko dzieci i że były bardzo skromne, wręcz symboliczne. Niestety, również następne wigilie nie były obfite w upominki. Szalik lub skarpetki zrobione na drutach należały do niezwykle hojnych.

Okres świąt był okazją do wyśpiewania całej „kantyczki”, czyli zbioru kolęd i pastorałek. Zналиśmy nieomal wszystkie melodie i zwykle wykonywaliśmy je po kolei „od deski do deski”. Często do śpiewania dołączali się dorośli.

Ulubioną naszą rozrywką w długie zimowe wieczory było słuchanie bajek. Niepotrzebna była do tego lampa. Siadanie w ciemnym kącie kuchni, stwarzającym tajemniczy nastrój, było nawet bardziej przyjemne. Niezastąpionym bajorzem okazał się stryj Władek (ten bez ręki). Każdą wizytę musiał okupić przynajmniej paroma bajkami. Trzeba przyznać, że się zbytnio przed tym nie bronił. Lubił opowiadać, lubił ponosić się fantazji. Podejrzywałem, iż sam był autorem większości tych bajek, gdyż proszony o powtórzenie któregoś z nich, zwykle ją rozbudowywał o jakieś nowe wątki, nowe przygody.

W mieście odbywały się cotygodniowe jarmarki. Była to tradycja mająca kilkaset lat. Parę razy byliśmy z mamą i z siostrą na takim jarmarku. Była to jedna z nielicznych atrakcji. Dziesiątki straganów pełnych przedmiotów niezbędnych w codziennym życiu oraz innych – całkiem niepotrzebnych. Solidne i ładne rzeczy obok strasznej tandety. Zjeżdżało się zwykle kilkaset wozów i przychodziło wielu pieszych. Wozem jeździło się tylko wtedy, kiedy trzeba było zawieźć lub przywieźć coś ciężkiego. Pustawe i senne na co dzień miasto stawało się w dzień jarmarku potwornie zatłoczone.

Któregoś letniego dnia w 1942 roku stryj Andrzej zaproponował mi pojechanie z nim wozem do miasta. Oczywiście chętnie się wybrałem. Moje obowiązki ograniczały się bowiem jedynie do pilnowania koni podczas postoju w mieście, kiedy stryj załatwiał jakieś sprawy. Jakież było moje zdziwienie, gdy wjeżdżając do miasta zobaczyliśmy dużo ludzi i wielki ruch na rynku i ulicach, mimo iż nie był to dzień targowy. Sprawa szybko się wyjaśniła. Do miasta przybyło wielu Żydów spędzonych przez Niemców z sąsiednich miejscowości. Podobno mieli być następnie wywiezieni do getta w jakimś dużym mieście. Na razie dokwaterowano ich do tutejszych rodzin żydowskich. Szykując się do wyjazdu sprzedawali różne przedmioty i gromadzili pieniądze, biżuterię i żywność. To samo zresztą robili Żydzi miejscowi. Teraz trwał nieustanny jarmark. Wielu mieszkańców miasta i okolicznych wsi kupowało rozmaite używane przedmioty od rodzin żydowskich. Wszystko to wyjaśnił mi stryj w drodze powrotnej do wsi S. Gdy zapytałem, czy on też kupił już coś lub zamierza kupić, strasznie się na mnie obruszył, jak mogło mi coś takiego przyjść do głowy. Przecież to byłoby wykorzystywanie cudzego nieszczęścia. Mnie wydawało się wówczas, że to raczej byłaby pomoc w zgromadzeniu pieniędzy, które łatwiej jest zabrać ze sobą idąc w nieznaną.

Po wielu tygodniach okazało się, iż wszyscy Żydzi z miasta – przyjezdni i miejscowi – zostali pognani przez Niemców do najbliższej stacji kolejowej i wywiezieni do obozu zagłady w Treblince. Był to kolejny temat do długich, wieczornych dyskusji wśród dorosłych. Mnie wydawało się to wówczas jakiegoś dziwne, niemożliwe. Przecież nie tak dawno widziałem tych ludzi żywych, krzątających się, szykujących się do drogi, a ich już nie ma.

Koniec spokojnego życia

Nadzieja na spokojne życie na wsi kończyła się coraz wyraźniej. Aby przeżyć trzeba było omijać tysiące zakazów, nakazów, poleceń okupanta. I tak na przykład w naszej wsi było kilka małych młynów napędzanych kieratem. Ilość zboża, jaką wolno było zemleć, nie wystarczała jednak do normalnego nakarmienia ludzi i zwierząt domowych. Zezwolenie na legalny ubój, nawet kiedy spełniono liczne warunki, nie pozwalało na dostateczne zaopatrzenie w mięso. Na jedno zezwolenie było więc zabijanych kilka sztuk trzody lub bydła. Kolecykowanie zwierząt było fałszowane przez przekładanie tego samego kolecyka kolejnym młodym sztukom zwierząt i opóźnianie tym samym terminu dostawy tego zwierzęcia na kontyngent. Nawet produkcja oleju rzepakowego musiała być prowadzona w zakonspirowanych olejarniach. A przecież za każde takie i podobne nieposłuszeństwo groziły: areszt, wysyłka na roboty przymusowe do Niemiec, obóz koncentracyjny, a nawet śmierć. Ludzie jednak nie poddawali się strachowi.

Duże zapotrzebowanie na żywność wynikało nie tylko z braku wystarczającego zaopatrzenia mieszkańców, ale i z konieczności dzielenia się żywnością z licznymi oddziałami partyzantów z sąsiednich lasów. Doszło do tego, że zaledwie nastąpił wieczór i ze wsi powyjeżdżali Niemcy kontrolujący różne rodzaje kontyngentów i przeprowadzający dodatkowe rekwizycje żywności, już słychać było turkotanie furmankami z wysłannikami któregoś z oddziałów partyzanckich zbierających żywność dom po domu. Potrzebne było wszystko: chleb, ziemniaki, mąka, kasza, groch, jarzyny, wędliny, mięso, słonina, masło, ser. Oprócz żywności wieś często musiała zapewnić partyzantom tzw. „podwoły”, czyli darmowe przewiezienie furmankami ludzi i bagaży. Co najmniej kilkunastu młodych ludzi należało do oddziałów, ale chyba wszystkie rodziny współpracowały z partyzantami i udzielały im różnorodnej pomocy.

Docierały również do wsi różne tajne gazetki, przekazywane z rąk do rąk i pokrzepiające ludzi informacjami o akcjach partyzantów, o przegranych walkach Niemców, o ich wycofywaniu się „na z góry zaplanowane, dogodniejsze pozycje”. Zwykli ludzie, często słabo znający geografie, studiowali z zaciekawieniem mapy i wyszukiwali nazwy obcych, dalekich miejscowości. Byliśmy w tej szczęśliwej sytuacji, że u stryja Andrzeja było trochę różnych map. Mogliśmy śledzić przesuwanie się frontu.

Pobyty we wsi S. kilkunastoosobowych grup żołnierzy lub żandarmów niemieckich były zwykle zakończone poczęstunkiem i obdarowaniem „gości” wódką, kielbasą, drobiem, jajkami, owocami. Sprzyjało to, podobno, mniej rygorystycznym kontrolom, a we wsi S. działy się przecież setki spraw zabronionych, nielegalnych. Do przygotowania takiego poczęstunku wystarczały zapasy wódki. Okupanci przydzielali ją hojnie w nagrodę za każde dostawy kontyngentów. Poczęstunki odbywały się w którymś z większych domów, z udziałem sołtysa, paru gospodarzy i tłumacza. Tłumaczem był jeden

z najbiedniejszych gospodarzy, który nieco nauczył się niemieckiego podczas wyjazdów na sezonowe roboty do Niemiec w okresie przedwojennym. Znany był z tego, że lubił sobie dobrze zjeść, a szczególnie wypić. Wówczas stawał się pewny siebie, dowcipny i rozmowny, czasami nawet zanadto. Podczas wspomnianych przyjęć, kiedy chodził z Niemcami po domach za dużo opowiadał „gościom”. Kilka razy został ostrzeżony przez partyzantów, że to co się dzieje i mówi na wsi nie może być przekazywane Niemcom. Nic nie pomagało. Pijaństwo i głupota były silniejsze. Którejś nocy grupa partyzantów odczytała mu wyrok sądu podziemnego i rozstrzelała obok jego domu. Nikt go chyba nie żałował, a na pogrzebie było podobno tylko parę osób. Chociaż mocno przeżywałem wiadomość o każdej śmierci człowieka, zwłaszcza znanego mi, to w tym przypadku uznałem bezpieczeństwo całej wsi za usprawiedliwiające taki srogi wyrok.

Wieś S., stanowiąca zaplecze zaopatrzeniowe dla licznych oddziałów partyzanckich (o czym bez wątpienia Niemcy wiedzieli), była ciągle zagrożona pacyfikacją. Chyba wszyscy mieszkańcy zdawali sobie z tego sprawę. Toteż kiedy którejś nocy na początku lata ktoś przekazał wiadomość o przygotowaniach do najazdu Niemców na wieś S., nie można było zastanawiać się ani chwili. Zwykle w takim wypadku byli aresztowani lub nawet rozstrzeliwani mężczyźni i młodzi chłopcy.

Polecenie (nie wiem od kogo) przyniósł Stefan, brat mojego kolegi – Czesława. Powiedział, że ja również muszę uciekać ze wsi. Wziąłem jakiś ciepły sweter, kromkę chleba i wyruszyliśmy. Szliśmy we czterech. W ciemnościach zobaczyliśmy jeszcze kilka parosobowych grupek kierujących się w stronę najbliższych lasów lub w stronę rzeki i ciągnących się za nią wąwozów. My szliśmy w kierunku rzeki. Na tym odcinku była ona dość szeroka i musieliśmy przejść kilkaset metrów wzdłuż brzegu zanim znaleźliśmy miejsce do przepłynięcia się. Po drodze cały czas w milczeniu nasłuchiwaaliśmy podejrzanych odgłosów i wypatrywaaliśmy, czy przypadkiem z przeciwka nie nadchodzi już tyraliera niemieckich żołnierzy otaczających wieś. Na szczęście nikogo nie spotkaliśmy. Po przejściu wąwozami około dwóch kilometrów ukryliśmy się wśród rosnących tam krzaków. W naszej kryjówce siedzieliśmy do świtu. Od strony wsi S. nie było słyhać żadnych hałasów. Było tylko zimno i mokro. Gdy wzeszło słońce podeszliśmy bliżej do naszej wsi. Była cisza. Odczekaliśmy jeszcze parę godzin i wróciliśmy do domów. Okazało się, że tym razem alarm był na szczęście zbędny, ale strachu i zdenerwowania wszyscy przeżyli wiele.

Któregoś majowego poranka nad lasami, gdzie obozowały oddziały partyzanckie, pokazała się ogromna chmura dymu. Wywołało to w naszej wsi spore zaniepokojenie. Wkrótce przyszła wiadomość. Paliła się leżąca wśród tych lasów wieś M., otoczona przez Niemców. Wieczorem dowiedzieliśmy się nieco więcej. Mieszkańcy tej wsi zostali wymordowani i spaleni. Mimo kilkunastu kilometrów odległości wiedzieliśmy o pomocy udzielanej w M. partyzantom. A przecież o naszej wsi też pewnie wiedziała cała okolica, jako o pomagającej „chłopcom z lasu”. Czy nam też grozi pacyfikacja? Następnego poranka dym znów pojawił się w tym samym miejscu. Jak się okazało Niemcy powrócili do wsi M. i spalili to co ocalało z poprzedniego dnia. Wymordowali też pozostałych przy życiu mieszkańców. Nazajutrz było wiadomo jeszcze więcej. Była to oczywista zemsta niemiecka za akcję partyzantów na pociąg wojskowy, przeprowadzoną w odległości kilku kilometrów od M. Wieś została otoczona przez wojsko i w ciągu tych dwóch dni doszczętnie spalona. Zginęli prawie wszyscy mieszkańcy, łącznie z niemowlętami – wystrzelani i spaleni, oprócz kilku aresztowanych i gdzieś wywiezionych.

W okolicy wiele było przypadków rozstrzeliwania kilku lub kilkunastu osób oraz spalenia jednego lub paru gospodarstw, ale takiej masowej zbrodni przeszło dwustu osób, chyba nie było.

Szczególnie mocno przeżyłem informację o spaleniu wielu osób żywcem w tym nawet dzieci. Ze śmiercią żołnierzy czy partyzantów w czasie wojny jakoś się godziłem. Nawet z tym, że cywile ginęli podczas bombardowania. Ale celowo, świadomie zamykać w stodole żywych ludzi i tam ich palić?! I kto to zrobił? Naród wielkich poetów, pisarzy, kompozytorów, malarzy. Naród od tysiąca lat związany z kulturą Zachodu. Nie mogłem tego pojąć. Kiedy próbowałem rozmowy z mamą na ten temat, była bardzo zdenerwowana i zmartwiona. Powiedziała tylko, że ma nadzieję, iż kara ich za to nie ominie.

Jednego z pierwszych dni czerwca 1943 roku o świcie usłyszeliśmy odgłos strzelaniny, dochodzący z odległego o parę kilometrów miasta. Trwało to z przerwami, z różną intensywnością, przez parę godzin. Miasto otoczone było przez niemieckie wojsko. Nikt się stamtąd nie wydostał. Oczywiście chyba nikt nie próbował się też dostać do środka. Po paru godzinach wiadomo już było o kolejnej zbrodni okupantów. O świcie otoczyli oni miasto i zastrzelili kilka osób próbujących ucieczki. Następnie spędzili mieszkańców na rynek i wyczytywali ludzi z listy. Wyczytanych odprowadzali w boczną ulicę, do sadu, tam rozstrzeliwali i kazali na miejscu wszystkich zakopać. Zginęło przeszło 40 osób. Z niektórych rodzin nawet po kilka. Oczywiście nie było żadnego sądu, nawet nie podali żadnego uzasadnienia. Wiedziałem, że w mieście, jak w wielu innych sąsiednich miejscowościach, zamieszkuje mnóstwo osób należących do konspiracji. Z późniejszych rozmów między dorosłymi usłyszałem o przypuszczalnej wielkiej „wspie”. Świadczyło o tym rozstrzelanie między innymi ludzi rzeczywiście współpracujących z partyzantami. Ilu takich było – nie wiem. Zauważyłem również, kolejny raz, zaniepokojenie o losy naszej wsi, zagrożonej przecież niebezpieczeństwem podobnej „wspie”.

Któregoś letniego dnia, późnym popołudniem, biegnąc po podwórku zobaczyliśmy na ławce w ogrodzie jakiegoś obcego mężczyznę rozmawiającego ze stryjem. Ciekawi, jak zawsze, przybiegliśmy zobaczyć kto to jest. Stryj jednakże przegonił nas dziwnie ostro, co tylko rozbudziło nasze zainteresowanie przybyszem. Po zjedzeniu czegoś, obdarowany kawałkiem chleba tajemniczy nieznamy wyruszył w dalszą drogę polnymi ścieżkami wskazanymi mu przez stryja. Wszystko to pilnie obserwowaliśmy z daleka. Po odejściu gościa, kiedy stryj trochę się udobruchał, dowiedzieliśmy się wreszcie, że był to radziecki żołnierz. Uciekł z jenieckiego obozu odległego o kilkanaście kilometrów. Opowiedział stryjowi o okrutnych warunkach, w jakich jeńcy ci są więzieni, zimnie, chorobach, głodzie, brudzie i dodatkowym znęcaniu się Niemców. O istnieniu tego obozu wiedzieliśmy już dawno, ale że jest tam tak strasznie i tak wielu jeńców umiera z głodu – chyba nie. Uciekinier pytał o drogę do lasu, w którym mógłby spotkać oddział partyzancki. Stryj dał mu dokładne wskazówki. Znowu było o czym rozmawiać przez parę wieczorów.

Któregoś dnia w końcu lata stryj Władek wybrał się do odległego o kilkanaście kilometrów miasteczka S. Udało mi się namówić go, aby mnie zabrał. Jechaliśmy jednokonną furmanką. Cieszyłem się z każdej wyprawy, gdyż była urozmaicheniem codzienności. Po drodze trzeba było przejechać przez leżącą wśród lasów wieś M. spaloną przed paroma miesiącami przez Niemców. Widok był straszny. Cisza jak na cmentarzu, smród spalenizny, sterczące kikuty kominów i żadnego człowieka. Niemcy zakazali tam przebywać komukolwiek, uprawiać pola, odbudować domy.

Lubiłem bardzo stryja Władka – między innymi za to, że można było z nim porozmawiać na każdy temat, że nie traktował mnie jak małego dzieciaka. Przez wieś M. przejechalśmy jednak w ponurym milczeniu. W drodze powrotnej około kilometra przed M. usłyszeliśmy warkot samochodu. W tym czasie w tych stronach samochodami jeździli wyłącznie Niemcy. Stryj zjechał z drogi w jakieś mijane właśnie podwórko i poprosił gospodarza o parę minut gościny do czasu, aż się wyjaśni co to za samochód i dokąd jedzie. Za chwilę przejechała w kierunku M. odkryta ciężarówka wypełniona wojskiem. Minęło niewiele minut i usłyszeliśmy kilka krótkich serii z pistoletów maszynowych. Oczekaliśmy jeszcze chyba 15 czy 20 minut, ale nic więcej nie było słychać. Należało jechać dalej. Pojechalśmy, a kiedy byliśmy przy końcu zgliszcz wsi M., usłyszeliśmy w lesie wołanie i płacz. Stryj zatrzymał furmankę. Około 100 metrów od drogi stała jakaś kobieta. Podeszedł do niej. Zobaczyłem, że kogoś podniósł z ziemi i tą swoją jedną ręką dźwiga jakoś nieporadnie. Przyniósł, ułożył na furmance. Była to młoda, licząca chyba trzydzieści parę lat kobieta. Nie żyła. Przez jej klatkę piersiową przebiegał rząd kilkunastu czerwonych punkcików, śladów pocisków. To do niej strzelali żołnierze. Druga, starsza nieco, ta która nas zatrzymała, opowiedziała wśród łez, że jej kuzynka pasła krowy na skraju lasu, obok wsi M., a więc na zakazanym terenie i nie zdążyła skryć się w lesie przed nadjeżdżającymi Niemcami. Zastrzelili ją nawet się nie zatrzymując. Opowiadająca to kobieta nadchodziła właśnie leśną ścieżką i była świadkiem zdarzenia. Byłem przerażony bliskim widokiem prawdziwego trupa, oglądanego pierwszy raz w życiu. Uświadomiłem sobie, jak to łatwo pozbawia się życia. Dotychczas trupy widywałem tylko w kinie, ale wiedziałem, że to było udawane. Tutaj zaś był prawdziwy trup. Strasznie to przeżyłem. Ze strachem spoglądałem spod oka na leżącą nieruchomo na wozie kobietę. Zwłoki odwieźliśmy do sąsiedniej wsi. Reszta drogi minęła nam w jeszcze bardziej ponurym nastroju.

Tajne lekcje

Jesienią 1943 roku zaistniała nowa, wspaniała możliwość uczenia się. W naszej wsi S. powstały tzw. „komplety”, czyli grupy uczniów uczestniczących w tajnych lekcjach prowadzonych przez nauczyciela. Nie znałem inicjatorów, ani organizatorów, ani zasad finansowych tego przedsięwzięcia. Naszym „profesorem” był Stefan, starszy brat naszego kolegi Czesława, który w roku szkolnym 1939/40 miał zdawać maturę. Czesław pod jego opieką „przerabiał” już pierwszą klasę gimnazjum ogólnokształcącego. Nas było siedmioro: Halina, Marysia, Wanda, Heniek, Mietek, Zenek i ja. Również mieliśmy być uczniami pierwszej klasy gimnazjum ogólnokształcącego. Wielkim problemem było zdobycie podręczników szkolnych. Sprzedaży w księgarniach oczywiście nie było. Dzięki siostrze ciotecznej Marychnie, mieszkającej w Warszawie, po paru tygodniach dostałem takie podręczniki. Inni też zdobyli ich trochę. Różniły się wydaniem (z różnych lat), a nawet autorami, ale były.

Lekcje odbywały się kolejno w mieszkaniach uczniów, co tydzień gdzie indziej. Całe przedsięwzięcie było – przynajmniej teoretycznie – tajne. Z innymi kolegami, poza naszą siódmką, nie rozmawialiśmy na ten temat. Myślę jednak, że prawie cała wieś coś o tym wiedziała. Zresztą praktycznie cała wieś była zamieszana w różnego rodzaju nielegalną działalność. Działał doskonale system ostrzegania wszystkich trzech wsi S. w przypadku zbliżania się samochodów i motocykli, a nawet furmanek niemieckich. Kilka razy w takich sytuacjach natychmiast po ostrzeżeniu musieliśmy przerwać lekcje i szybko rozejść się. Wiedzieliśmy doskonale, że za uczenie się, tak jak z tysiąca innych powodów, też groziło aresztowanie. W opinii okupantów takim pod-ludziom jak Polacy wystarczała przecież umiejętność przeczytania

obwieszczeń władz oraz policzenia, ile podatków i kontyngentów należy dostarczyć. My natomiast uczyliśmy się wszystkich przewidzianych programem przedmiotów, nawet zniechęconego języka niemieckiego. Wszakże po zwycięskiej wojnie będziemy nadzorować pracę pokonanych Niemców, którzy będą musieli naprawić, odbudować to co zrujnowali, bo wtedy to my będziemy okupować państwo niemieckie.

Uczyliśmy się zawzięcie wszystkich przedmiotów. Przeskoczenie z IV klasy do I klasy gimnazjum powodowało luki w materiale, zwłaszcza w matematyce i konieczne było dodatkowe rozszerzenie programu o tematy z V czy VI klasy. Lekcje trwały na wzór szkolny – około 45 minut i było ich zwykle 5 lub 6 z krótkimi przerwami. Oczywiście konieczne było również odrabianie zadań domowych. Początkowo miałem w tym zakresie trudności. Skończyły się one, kiedy Heniek mieszkający na III wsi zaprosił mnie do siebie do domu do wspólnej nauki. Mieliśmy tylko we dwóch lampę do swojej dyspozycji. To był prawdziwy luksus. Zaczynaliśmy późnym popołudniem i „zakuwaliśmy” cały wieczór, często do godziny 22 lub 23. Trochę przykry był potem powrót do domu po ciemku. Nie było daleko, ścieżką przez pola i łąki, sprytny skok przez strumień, znów pod górkę i przez pole, mniej niż kilometr. Zwykle miałem ręczną latarkę i coś tam było widać, zresztą ścieżki znałem na pamięć. Nie odczuwałem lęku chodząc w ciemności, rzadko spotykałem kogoś idącego o tej porze, no a spotkanie patroli niemieckich było wykluczone – w tych stronach wieczorami nie chadzali.

Zapamiętałem doskonale zdarzenie podczas jednego z alarmów o przyjeździe na II wieś grupy żołnierzy niemieckich. Nasze lekcje tego dnia odbywały się na III wsi. Było to na początku zimy, koło południa. Rozeszliśmy się spokojnie. Wracalem do domu na II wieś. Właśnie wyszedłem z wąwozu oddzielającego te obie wsie i szedłem przez płaskie, puste pole do zabudowań stryja Andrzeja, kiedy rozległo się stamtąd parę pojedynczych strzałów. Już widziałem w wyobraźni, jak żołnierze strzelają do kogoś z rodziny. Tylko do kogo i dlaczego? Co teraz robić? Uciekać? Iść dalej? Jestem przecież widoczny z zabudowań. Ucieczka będzie wyglądać podejrzanie. Musiałbym przebiec po wyboistym polu około 100 metrów, żeby się ukryć. Nie mogłem się długo zastanawiać. Postanowiłem iść spokojnie do domu. Nadal nie wiedziałem co się tam dzieje. Doszedłem od tyłu do zabudowań. Ukryłem książki i zeszyty pod podłogą stodoły i ze strachem powoli wszedłem na podwórko. W tym momencie padły kolejne strzały. Zobaczyłem chmurę pierza, dwie padające na ziemię kury i dwóch żołnierzy strzelających z karabinów, a następnie wrzeszczących radośnie. Mną się w ogóle nie zainteresowali. Zebrali jedynie kolejne upolowane kury. Skończyło się na strachu. Lekcje były kilkakrotnie odwołane również z bardziej prozaicznych powodów. Była to np. konieczność pracy pana „profesora” lub kilku uczniów przy obsłudze młockarni.

Na wiosnę nasz „profesor” przyniósł wiadomość, że przypuszczalnie w maju będziemy mieli egzamin końcowy przed tajną komisją złożoną z prawdziwych nauczycieli szkół średnich. To zdopinguwało nas do dodatkowego wysiłku, aby wypaść jak najlepiej. Nie mogliśmy przecież przynieść wstydu naszemu „profesorowi”. Nie mogliśmy być gorszymi uczniami tylko dlatego, że przyjeździemy z małej, zapadłej wsi. „Zakuwaliśmy” materiał, przepytывaliśmy się wzajemnie, coraz bardziej wierzyliśmy w siebie.

Nadszedł termin egzaminu, który miał się odbywać w mieście C, odległym około 30 kilometrów. Wyjechaliśmy bardzo rano dwoma furmankami. Oprócz „profesora” Stefana pojechał również jego brat Czesław – też przygotowany do egzaminu. Na miejscu w C. podzieliliśmy się po 2-3 osoby i prowadzeni przez Stefana, który jako jedyny znał adres komisji, szliśmy gęsiego, w odstępach co kilkanaście metrów. Z centrum miasta wyprowadził nas na jakąś boczną uliczkę z niewielkimi domami, z willami wśród ogródków. Weszliśmy do takiej willi. Nasze zdziwienie i strach budziło sąsiedztwo. Po drugiej stronie ulicy stał piętrowy budynek szpitala, zamieniony na koszary niemieckie. Była piękna pogoda i okna szpitala oraz podwórko pełne były żołnierzy wrzeszczących i rechoczących. W kilku pokojach willi działali już egzaminatorzy. Trzeba było zapomnieć o hałasie i strachu i skupić się na egzaminach. Zdawaliśmy ze wszystkich przedmiotów. Zaliczyliśmy wszyscy. Oczywiście oceny z różnych przedmiotów były rozmaite. Oprócz nas zdawała kilkunastoosobowa grupa z sąsiadującego ze wsią miasta S., przygotowana przez kilkoro nauczycieli ze szkół średnich. Okazało się, że poziomem przygotowania nie odbiegaliśmy od nich. Tak na zakończenie poinformowała nas komisja egzaminacyjna. Byliśmy bardzo dumni z siebie i wdzięczni naszemu „profesorowi”. Nie było wówczas żadnych świadectw skończenia I klasy. Dopiero parę tygodni po wojnie otrzymaliśmy pisemne zaświadczenia weryfikujące wyniki tych egzaminów i potwierdzające ukończenie I klasy gimnazjum ogólnokształcącego.

Front coraz bliżej

Któregoś popołudnia wiosną 1944 roku przejechał przez wieś S. oddział dziwnych jeźdźców w nieznanym mundurach. Na ramiona mieli narzucone fantastycznie peleryny, długie szaliki, na głowach papachy z futrzanym otokiem. Konie były rosłe, ładnie utrzymane. Grupa około dziesięciu żołnierzy

wjechała na nasze podwórko. Ich dowódca zawiadomił stryja, że będą tutaj dziś nocować, a konie należy natychmiast nakarmić. Byli to Kozacy walczący po stronie niemieckiej. Zwróciliśmy uwagę na ich całkiem przyzwoite odnoszenie się do nas, zdecydowanie różne niż Niemców. Mimo to moja mama była bardzo nieufna wobec tych „gości”, gdyż pamiętała dobrze wojska kozackie z czasów przed I wojną światową, kiedy to słynęły z okrucieństwa w stosunku do cywilnej ludności. Mieszkając wówczas w Warszawie poznała „działalność” Kozaków osobiście. Ja również naczytałem się o nich wiele złego. Byłem zaskoczony taką zmianą, ale naturalnie również nieufny.

Żołnierze byli bardzo zmęczeni i wcześniej posnęli. Stryj jednak, znający język rosyjski, wciągnął jednego z nich, starszego wiekiem, w długą rozmowę. Dowiedzieliśmy się później od stryja, że Kozacy ci mieli dużo żalu i pretensji do Niemców. Już nie było szans na utworzenie pod patronatem Hitlera wolnej Ukrainy, ani samodzielnej armii ukraińskiej. Spodziewali się kłęski Hitlera. Oznaczało to niemożliwość powrotu w rodzinne strony, do swoich rodzin i gospodarstw. Strasznie bali się wzięcia do niewoli przez Armię Czerwoną, gdyż podobno groziło to natychmiastowym rozstrzelaniem lub powieszeniem.

Rano rzeczywiście odjechali. Wizyta ta przez wiele jeszcze dni była komentowana i wywołała długie dyskusje na temat różnych innych narodów współpracujących z Hitlerem. Dorośli dyskutanci zgodnie potępiali wszystkich sprzymierzeńców Niemiec, różnili się tylko tym, jak powinno się ich ukarać po skończeniu wojny. Naturalnie nam dzieciom nie dali się wypowiadać, a byliśmy nastawieni bardzo radykalnie. Uważaliśmy, że najlepiej byłoby zamknąć wszystkich w obozach koncentracyjnych, w tych samych, gdzie teraz hitlerowcy mordują tysiące ludzi.

Był upalny lipiec. Żniwa w pełni. Część skoszonego zboża stała już zestawiona w kopy na ścierniskach. Ożywiona działalność wielu oddziałów partyzanckich powodowała kilkakrotne oblawy w polskich lasach. Niemcy używali do tego głównie wojsk sprzymierzeńców, zwłaszcza „własowców” złożonych z żołnierzy narodowości mongolskich. Zwano ich popularnie kałmukami. Dowodzili nimi oficerowie niemieccy. Była to konnica na niskich, zabiedzonych koniach. Słynęła w naszej okolicy z licznych grabieży koni, bydła, owiec oraz z brutalności wobec mieszkańców, a szczególnie wobec kobiet – z reguły gwałconych. Na wiadomość o zbliżaniu się do wsi kałmuków kobiety uciekały do sąsiednich wsi leżących bliżej lasów, a jeśli nie zdążyły, ukrywały się w różnych przemysłnych schowkach.

Kiedyś wczesnym popołudniem przybyło na podwórze do stryja dwóch kałmuków. Nie wiadomo którą przyjechali. Chyba polnymi ścieżkami, gdyż nikt nas nie uprzedził, ani nikt ich nie widział. Na podwórzu był stryj Andrzej i my dzieci. Inni domownicy byli w polu po drugiej stronie drogi. Nie słyszeliśmy o czym rozmawiali ze stryjem. Potem jeden zląkł z konia i czegoś szukał koło bramy wjazdowej. Nagle w odległości około 100 metrów zauważył moją siostrę stryjeczną, mającą kilkanaście lat, idącą do żniwiarzy. Zaczął wołać do niej, żeby przyszła. Stryj usiłował odwrócić jego uwagę od swojej córki, pokazywał mu coś w przeciwnym kierunku. Mimo dramatyzmu sytuacji porównywałem to działanie do metody stosowanej przez jakieś ptaki, które bronią piskląt odwracając w podobny sposób uwagę drapieżnika. Tym razem to nie skutkowało. Siostra natomiast zobaczywszy kto ją woła, rzuciła się do ucieczki, klucząc między kopami żyta. Wtedy ten kałmuk zdjął karabin z pleców i stojąc zaczął do niej strzelać. Stryj nadal coś mu tłumaczył. My zaś stojąc z boku przerażeni i zbaraniałi, obserwowaliśmy migającą między kopami siostrę i zawziętego żołnierza, który koniecznie chciał w nią pocelować. W tym momencie przypomniało mi się, jak kilka miesięcy temu, z odległego zaledwie o parę metrów miejsca, żołnierze strzelali do kur. Jaka to dla nich mała różnica: raz strzela się do kur, innym razem do dziewczyny. Na szczęście kałmuk po kilku niecelnych strzałach zrezygnował z dalszego polowania. Zawołany przez swego kolegę wsiadł na konia i obaj odjechali.

Front był coraz bliżej, podobno w odległości 60, a może 50 kilometrów. Już zaczęliśmy mieć nadzieję, że lada dzień dotrze do nas. Wiadomości były jednak sprzeczne. Podawano nazwy dość bliskich, już zdobytych miejscowości. Innym razem słyszeliśmy o niezbyt odległych miejscowościach, z których Niemcy wysiedlali mieszkańców i podobno budowali tam jakieś okopy, bunkry, jakby zamierzali długo się bronić.

Podobno Armia Czerwona doszła już pod Warszawę. Podobno w stolicy wybuchło powstanie. Znów były dyskusje skąd ci powstańcy mieli tyle broni. Przecież wiadomo, jak słabo uzbrojone są nawet oddziały partyzanckie w okolicy. Mama twierdziła, że pewnie to będzie jak w końcu I wojny światowej, kiedy Niemcy oddawali Polakom broń bez walki i Warszawa była szybko wyzwolona. Jednak według następnych informacji walki w mieście ciągle trwały.

Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, iż niektóre oddziały leśne z okolicy wyruszyły na pomoc powstaniu warszawskiemu. Jedni to chwalili, inni uważali, że brak partyzantów w „naszych” lasach rozzuchwali Niemców, którzy dotąd nie opuszczali w nocy swoich garnizonów, chyba że w dużych grupach, po kilkuset.

Jesienią 1944 roku miały miejsce zdarzenia bardzo smutne dla naszej rodziny. Z odległego o kilkadziesiąt kilometrów frontu dochodziły często odgłosy kanonady artyleryjskiej. Nad okolicą

przelatywały, zwłaszcza nocą, zwiadowcze samoloty radzieckie przezywane „kukuźnikami”, które czasami ostrzeliwały lub obrzucały granatami podejrzane wyglądające budynki i pojazdy. Obowiązywała w nocy bezwzględna zasada zaciemnienia okien.

Tego wieczoru było bardzo ciepło i pogodnie. Już szykowaliśmy się do spania, gdy w pobliżu rozległo się kilka wybuchów, a następnie usłyszeliśmy głośny warkot wznoszącego się „kukuźnika”. Wybiegliśmy przed dom. Słysząc było jakieś krzyki. Na końcu III wsi zobaczyliśmy pożar. Dorośli pobiegli tam na pomoc, a nam dzieciom zabronili odchodzić od domu. Jeszcze nie było wiadomo u kogo się pali, ale byliśmy mocno zaniepokojeni, gdyż w tym rejonie było gospodarstwo naszego stryja Władka. Po jakimś czasie przybiegł ktoś z wiadomościami. Niestety paliło się właśnie u naszego stryja. Do tego i on i jego jedyny syn Kazik, mający około szesnastu lat, zginęli na miejscu od granatów. Pomyślałem zaraz, jak wiele razy słyszałem niby żartobliwe wypowiedzi stryja Władka, że on, jako jednoręki inwalida, ma największe szanse przeżycia tej wojny. Przecież na przymusowe roboty do Niemiec go nie wezmą, do kopania okopów na pobliskim froncie nie zatrudnią. Nie mogą też podejrzewać o przynależność do partyzantów. A jednak nie przeżył. Tak zresztą jak jego, również jednoręki, przyjaciel z sąsiedniej wsi, który zginął przypadkowo parę tygodni wcześniej, podczas strzelaniny między Niemcami i grupą partyzantów, obok własnego domu.

Nazajutrz wiedzieliśmy więcej. Lekko rannych było jeszcze parę osób. Prawie cały dobytek i wszystkie zbiory spłonęły. Stryj i jego syn zginęli, gdy leżeli w ogrodzie na trawie. Podobno w chwili nadlatywania samolotu wyszła na podwórko z zapaloną lampą stryjenka, która miała bardzo słaby słuch i nie usłyszała nadlatującego samolotu. Ten krótki błysk światła wystarczył pilotowi do wypatrzenia celu. Popłakaliśmy wiele na pogrzebie tak bardzo lubianego stryja. Trudno było sobie wyobrazić, że już nigdy do nas nie przyjdzie, nic nam nie opowie.

Nadeszły jesienne chłody i deszcze. W okolicznych lasach było wiele oddziałów partyzanckich wszelkich rodzajów. Część z nich została skierowana na okres zimowy do okolicznych wsi „na meliny”. W naszej wsi zamieszkało co najmniej kilkunastu. Udawali jakichś kuzynów gospodarzy pomagających w pracach domowych. U stryja Andrzeja też zamieszkał taki „kuzyn”. Już pierwszego dnia było z nim trochę problemów. Przyszedł ładnie ubrany w prawdziwy, angielski mundur wojskowy ze zrzutów, wymagający natychmiastowego ufarbowania na jakiś bardziej „cywilny” kolor. Najłatwiejszy był czarny. Najpilniejsze jednak okazało się, mówiąc wprost, odwszenie odzieży „kuzyna”. W życiu nie widziałem wcześniej, zresztą i później, takiej ilości robactwa. Ufarbowane spodnie „kuzyn” nosił nadal, natomiast krótką do pasa bluzę dostałem ja. Mama zamieniła ją za marynarkę ojca, czekającą na jego cudowny powrót po wojnie.

Nie wiem z jakiego oddziału był nasz nowy domownik. Podobno z „Jędrusiów”, ale była to jedna z tajemnic. Nie wiedzieliśmy jak naprawdę się nazywa. Na samym początku swego pobytu porozmawiał ze mną „w cztery oczy”. Wyciągnął chyba ze siedem własnych „kennkart”. Oczywiście każda wystawiona była na inne imię, nazwisko, zawierała inne miejsce i datę urodzenia. Wybrał jedną z nich i powiedział, że nazywa się Kwiatkowski, czy może Skowroński, już nie pamiętam tego. Później podał to zresztą wszystkim domownikom. Mnie natomiast wręczył skrzętnie zapakowane pozostałe „kennkarty” i poprosił o ich dobre ukrycie w miejscu, którego nawet on sam nie chce znać. Zobowiązałem się również, że nikomu o istnieniu tylu fałszywych dowodów nie powiem. Byłem ogromnie przejęty takim zaufaniem. Przecież znalezienie tego pakietu przez Niemców byłoby wyrokiem śmierci na „kuzyna”. Strasznie mnie ciekawiło jaką ma broń i gdzie ukrytą, ale lepiej było tego nie wiedzieć.

Zaraz po nowym roku przyjechały do wsi od wschodu zmotoryzowane oddziały niemieckie. Początkowo ludzie podejrzewali, że w celu ewakuacji nas wszystkich ze strefy przyfrontowej. Szybko wyjaśniło się, iż mają kwaterować. U nas jeden pokój w domu zajął jakiś wyższy oficer, a w stodole, mimo mrozu, koczowała obsługa dział. Spodziewaliśmy się, przy tak dużej ilości żołnierzy, zarekwirowania resztek żywności, jaka jeszcze pozostawała we wsi. Tymczasem praktycznie nic nie zabrali. Wzdłuż wsi przejechało kilka samochodów kwatremistrzowskich rozdając żołnierzom koce, sprzęt, żywność. Kuchnie polowe rozwiozły posiłki. Pamiętam jak stryj, doświadczony żołnierz, z uznaniem wypowiedział się o takiej tropce o żołnierzy.

Zaskoczyło nas zachowanie się żołnierzy. Zwykle tacy butni, wrzeszczący i rechoczący z byle powodu, tym razem byli jacyś poważni, cisi. Chyba wreszcie zdawali sobie sprawę ze zbliżającej się klęski. Usłyszałem jak podpytywany przez stryja kierowca samochodu wożącego „naszego” oficera powiedział parę razy: „Hitler kaput”.

W dzień i w nocy baliśmy się zbombardowania przez radzieckie samoloty stojącego za stodołą dział. Na szczęście jakoś się nie pokazywały, mimo mroźnej wprawdzie, ale pięknej pogody. Nasze dzieci rozpieierała strasznie ciekawość, co to wojsko robi we wsi, co się dzieje w innych gospodarstwach. Jednak nie wolno nam było nigdzie wychodzić. „Naszego” oficera nie było po całych dniach. Wkrótce spakował się i odjechał. Również inni żołnierze załadowali się na samochody i w kilkadziesiąt minut już ich nie było, razem z działem zza stodoły. Koło południa usłyszeliśmy dalekie strzały armatnie, potem coraz bliższe.

Dorośli dyskutowali o możliwości zbliżenia się frontu. Po południu wszyscy schronili się w obszernej, bardzo starej piwnicy, dość głębokiej, zbudowanej z kamienia. Była ona przysypana grubą warstwą ziemi, obrośnięta wokół krzakami. Za nią zaczynał się duży sad. Oprócz nas, domowników, przyszedli sąsiedzi. W sumie było ze 30 osób. Wraz z naszym „kuzynem” byli jego dwaj koledzy. Było ciemno, zimno i duszno. Siedzieliśmy przejęci niezwykłą sytuacją. Najwięcej strachu powodowała coraz głośniejsza strzelanina z dział, a następnie również z karabinów. Nie wiedzieliśmy, w którą stronę lecą wszystkie te pociski, a przecież niejedyn z nich mógł wywołać pożar naszych zabudowań. W domu zostało wszystko, cały dobytek. W piwnicy mieliśmy jedynie nieco koców i pościeli, byle tylko usiąść na czymś. Co kilka minut stryj Andrzej wyglądał na zewnątrz, nasłuchując co się dzieje. Był już wieczór, gdy wszedł do piwnicy z wiadomością, że na drodze słychać jakiś szum, a za chwilę, że widać idących drogą żołnierzy. Za jakiś czas poinformował, że przybysze rozmawiają po rosyjsku. Drogą szła już armia radziecka. Nie było wątpliwości – byliśmy uratowani. Nikt nie został ranny, nic się od pocisków nie zapaliło. My dzieci byliśmy trochę rozczarowani takim prozaicznym przejściem frontu. Nikt się nie bronił, nikt nie atakował. Trzeba powiedzieć, że na szczęście.

Mimo późnej pory nikt nie kazał nam iść spać. Wszyscy przeżywali i komentowali wyzwolenie. Drogą ciągnęły tłumy żołnierzy, jechały samochody, wozy konne, działa. Po kilkudziesięciu minutach uchyliły się powoli drzwi wejściowe do kuchni, gdzie chyba wszyscy byliśmy zgromadzeni. W szczelinie pokazał się „nagan”, a następnie głowa żołnierza o gruzińskich rysach twarzy i usłyszeliśmy pytanie łamaną polszczyzną, czy są tu Niemcy. Był to pierwszy widziany z bliska żołnierz radziecki. Oczywiście stryj Andrzej zaprosił go do mieszkania, porozmawiał z nim po rosyjsku, ale ten po paru minutach zapytał, czy jeszcze daleko do Berlina i wyszedł.

Przez następne dwie doby prawie bez przerwy szli i jechali na zachód żołnierze radzieccy. Przez cały ten czas zaledwie kilkunastu zatrzymało się, dosłownie na parę minut. Każdy coś zjadł, czy się napił i pośpiesznie wychodził z pytaniem na pożegnanie: jak daleko do Berlina.

Po paru dniach dowiedzieliśmy się, że ofensywa ruszyła na całym froncie, że zdobyte są kolejne większe miasta polskie, z Warszawą włącznie. Mama szczególnie martwiła się o losy warszawiaków, gdyż w stolicy mieszkała większość najbliższej rodziny. Dopiero po paru miesiącach dowiedzieliśmy się, że wszyscy przeżyli.

Po kilkunastu dniach nasz „kuzyn” poinformował, że dla niego wojna się skończyła i wraca do domu i do szkoły, którą musiał przerwać. Znów miałem okazję do poufnej misji wyciągnięcia z ukrycia zawiniątka z pakietem jego fałszywych dowodów i oddania mu. Któregoś ranka zaopatrzony w żywność na drogę wyruszył do domu z jednym ze swych kolegów.

Tymczasem życie stopniowo zaczynało wracać do normalności. W wiejskiej szkole dzieci zaczynały naukę, gdyż od września nie było dotąd żadnych lekcji. Dostaliśmy wiadomość od Stefana, naszego „profesora”, że on wprawdzie wyjeżdża do swojej przedwojennej szkoły, aby zrobić tam maturę, ale my możemy uczyć się dalej i to w prawdziwym gimnazjum. Okazało się, że w odległym o parę kilometrów mieście w budynku dawnego seminarium nauczycielskiego organizowane jest gimnazjum ogólnokształcące. Oprócz przyjęć do klasy pierwszej będzie także nabór – spośród uczestników tajnego nauczania – do klasy drugiej i trzeciej. Zostałem przyjęty do klasy drugiej wraz z moimi trzema kolegami z tajnych lekcji we wsi S. Losy naszych koleżanek potoczyły się inaczej. Tylko jedna wyjechała do „handlówki” do innego miasta, a dwie zrezygnowały z dalszej nauki.

Chociaż jeszcze trwała wojna, jeszcze ginęły tysiące żołnierzy i cywilów, powstawało nasze gimnazjum. Budynek po seminarium był potwornie zdewastowany. Przez całą okupację kwatrowali tam żołnierze niemieccy. Okna, drzwi, piece poniszczone, żadnych mebli. Jednym z warunków przyjęcia ucznia do gimnazjum, było np. przyniesienie własnego krzesła lub taboretu, a dobrze widziany był jakiś stół, ewentualnie stolik. Najważniejsze jednak, iż po skończeniu najpilniejszych napraw i malowania, już w połowie lutego zaczęliśmy naukę.

Dla mnie wojna praktycznie się skończyła. Niestety, nasze paroletnie oczekiwania z nadzieją na szczęśliwe ocalenie ojca i jego powrót z obozu koncentracyjnego były nadaremne. Nie wrócił.